



*Wasz mali rówieśnicy w Chinach
jadą na spacer*

A Staszek tymczasem pochlipywał, pakując do plecaka wszystkie swoje skarby. Wielki podróżnik mazał się jak mały chłoptaś i rozcierał łzy palcami po rozpalonej buzi. Oj, żeby nie to, że szkoła mu zaufała... Ale trudno...

A tu nagle kroki. Ledwo miał czas wkopnąć plecak pod łóżko i przykryć lampę, gdy weszła mamusia. Przytuliła go, pogłaskała:

— Czy ci co jest, Stasiu? Powiedz mi, synku, może cię co boli?

— Nic, mamusiu... tak mi tylko czegoś smutno...

— Miałeś jaką nieprzyjemność w szkole?

— Nic...

— No więc co?

— Dowiesz się jutro, mamusiu, jutro ci powiem, naprawdę powiem, a teraz już nie pytaj, moja mamusiu.

— No, ale jutro powiesz?

— Jutro powiem...

Boże! Jak się też mamusia zmartwi, gdy zastanie jutro łóżko puste. Pewno ukryje twarz w dłoniach i będzie płakała, jak wtedy, gdy przyszła depesza o śmierci cici i Wini. Ale on przecież nie umiera, wróci okryty sławą, będzie o nim we wszystkich dziennikach, mamusia się wyplacze, a potem będzie dumna a tatuś też.

Bardzo był rad, że się do niej jeszcze przytulić mógł, pogłaskała go po głowie, ucałowała i wysunęła się cichutko, jak przyszła:

— Dobranoc, synku...

— Dobranoc, mamusiu...

A potem siadł i pisał list. Zaraz na początek zrobił mu się dwa duże „kleksy“, ale niech tam, mamusia zacznie płakać nad listem, to jeszcze więcej płam narobi:

Kochani Rodzice! Idę w podróż naokoło świata, wróć (wróć?) — nie mógł sobie przypomnieć, czy się pisze o z kreską, czy zwykłe u, więc dla pewności napisał w zakreślniku — sławny i będziecie ze mnie dumni. Będę czyścił, buty, więc się nie martwcie i niech mamusia nie płacze.

Koledzy przynieśli mi szcztotki, więc nie mogę zawieść zaufania szkoły.

Bardzo kochający syn

Stanisław

Tym razem kapnęła łza i zamazała podpis.

Zgasił lampę i czekał, siedząc na skrajku łóżka z plecakiem przez ramię, aż w sypialni rodziców również światło zgasło i doszło go spokojne chrapanie ojca.

Uchylił cicho okno i wyskoczył...

Chlipnął raz, drugi, teraz go już nikt nie mógł usłyszeć — i ruszył przed siebie. Było mu jakoś dziwnie niesamowicie, na widok rzadkich przechodniów Ignął do murów, na widok policjanta serce mu biło, jak młotem. A droga zdawała się taką beżmiernie długą... Taką długą...

Doszedł wreszcie do parku Jordana, ale tu ogarnął go już taki straszny lęk, że postanowił z dłuższą podróżą poczekać do świtu. Skulił się w krzakach i trząsł się z zimna.

Przez chwilę myślał nawet: — Chyba wróć? — Ale się przezwyćczył.

Boże, jaka też ta noc długa!

Oczy się kleją a lęk spać nie daje, takie te drzewa groźne, czarne, tak te gałęzie szepczą jakgdyby tysiące duchów niewidzialnych prowadziło rozhovor.

Usnął wreszcie. Zbudził go jaskrawy promień słońca, co mu prosto w oczy rzucił swoje radosne światło.

— A wstawaj-że, leniuchu, dzień...

Dzień... Ucieszył się bo w dzień wszystko łatwiej. Głodny był, wyjął bułkę z plecaka i kawałek kielbasy, dary kolegów, umył się w niebardzo czystej wodzie, płynącej kanałem a wytarł chustką do nosa. No, jutro to już będzie inaczej, dzisiaj przecież zarobi już coś czyszczeniem butów i będzie mógł zanoćować w łóżku. Wesoło podśpiewując, ruszył drogą.

Na gościńcu był już ruch, ciągnęły fury na targ, baby rozłożyste, w chusty zakutane, bo ranek był chłodny, trzęsły się na wozach wraz z manierkami mleka. W domu też się obudzą, Marynia pójdzie po bułki i po mleko, a tatuś zacznie wołać:

— Staszek! Wstawaj... Staszek...

I zdziwią się, że się nie odezwał a potem mamusia wejdzie i znajdzie list na poduszce Ol Staszewi bułka z kielbasą utyka w przelyku a oczy mętnieją łzami, ale otrząsa się zaraz:

— Mazgaj ze mnie! Taki mazgaj, że aż strach... aż pfe!

Maszeruje dalej i jakoś mu weselej. Idzie sobie przez podmiejskie pola, wśród młodych zbóż. Wszędzie uwijają się ludzie, zniknęła noc i jej groza. — Jak przyjdę do wsi — myśli Staszek, — to zaraz zacznę pracować, żeby mieć czem opłacić nocleg i obiad.

U wejścia do wsi siadł u stóp przydrożnego krzyża, rozłożył swoje szczotki i czeka... Ludzie idą, pogładają na niego, jaki taki się uśmiechnie jakoś dziwnie i nic, idą dalej. A Staszka jakoś śmiałość opuściła, chciałby wołać głośno:

— Czyszczyć buty pięknie, świecą się, jak słońce...

Dalszy ciąg nastąpi

Zaduszki sierotki

Poszła Zosieńka w Zaduszki rano
na grób matusi,
leżki jej płyną po bladej buzi,
smutek ją dusi.
Wreszcie, splakana, w słonku na
ławce
usnęła słodko
i zapomniała we śnie o smutku,
że jest sierotką.
Zdawało jej się, że oto idzie
przez śliczne gaje,
hen, hen, daleko, aż tam, gdzie zorza
z nad morza wstaje.
A z tej zorzeńki wyszła
naprzeciw
jej matuś miła
za którą Zosia we łzach gorących
ciągle tęskniła.
I utuliła matuś dziecinę
u swego łona,
za rączki wzięła i szła z nią dalej
przez kwietne blonia.
A na tych bloniach w płasach igrały
wesole dzieci,
A na tych bloniach p płasach igrały
gdym rankiem świeci.
I między niemi poznała Zosia
braciszka swego,
grzecznego Kazia, co umarł właśnie
roku zeszłego.
I on ją poznał, więc się serdecznie
ucalowali,
potem on Zosi przypiął skrzydełka
barwy korali
i tak fruwali sobie nad łąką,
jako motyle,
zrywali kwiatki i tak im było
dobrze i mile.
Wtem zobaczyła Zosia przecudną
w jasności Panią,
i mnóstwo dziewic, starców i dzieci

dążyło za nią.
A dookoła się unosili
piękni anieli
w złocistych blaskach,
ze słodkim śpiewem,
w liljowej bieli,
— Patrz, córuś, oto
Najświętsza Panna,
a za nią, dalej
dusze tych wszystkich, co ją za życia
bardzo kochali. —
Więc Zosia żywo się
przecisnęła
do Bożej Matki,
ucalowała Jej święte rączki,
oddała kwiatki
i zawołała, patrząc w Jej lica
cudne, kochane:
— Pozwól mi, pozwól,
Mateńko Boża,
niech tu zostanę!
A Matka Boska dotknęła czule
Zosieńki czoła
i rzekła:
— Wtedy tutaj zostaniesz,
jak Bóg zawoła,
bo ty na ziemi jeszcze pracować
musisz troszeczkę,
ale się nie smuć, anioł-stróż strzeże
swą sieroteczkę.
Zato, jak wrócisz po dobrem zyciu —
zostaniesz z nami,
bo my cię, Zosiu, wszyscy tu w niebie
bardzo kochamy.
— — — — —
I przebudziła się Zosia mała,
lecz już nie płacze,
a tylko mówi:
— Przecież matusię
w niebie zobaczę! —
Stefanja Ottowa

Czarodziejska przygoda

Krzysia

Uczesać się?
Oczyścić buty?
Domyć ręce?
Poco? Na co?

Włosy zaraz znów dęba staną. Buty za progami w tej chwili się zakurzają. A ręce? Ręce się nie zechcą domyć wogóle.

Serce Krzysia jest pełne buntu.

Krzys lubi swobodę. Chciałby być Reksiem. Reksia myje się raz na tydzień, a pies mógłby stać w wystawowym oknie, taki elegancki. Zębów mu się wcale nie myje, a ma śliczne i do dentysty nie pójdzie. Dobrze stworzeniu na świecie! Tylko chłopak z trzeciego oddziału ma życie obrzydzone ciąglem pamiętaniem:

— A obetnij paznogie! A powieś palto! A wytrzyj nogi! A nie pociągaj nosem!

Tak! tak! Wolaliby być Reksiem, albo wróblem.

Właśnie jest takie cudne, pogodne popołudnie. Krzys stoi w oknie i gapi się.

Niedobrze, że ma iść z mamą z wizytą, na imieniny. Czuje już, ile trzeba się będzie zaraz nacierpieć. A gdyby był wróblem, albo jaskółką, toby fruwał bez mycia i czesania w ten błękit... fiu! i już. Pofruwałby na sam czubek topoli, potem, jak jaskółka, naprzestrzał, przez oba wrota stajni i nad las!

A tak co? Namećwz się, natrudzi, a mama przyjdzie i powie:

— Idź, domyj się!

— Och, ucieknę — mvśli Krzys.

I nagle — zmienia się w jaskółkę. Jest jak mały samolocik. Stoi na parapacie okna i może choćby zaraz wystartować. Daleki świat, niebo jakby wołały na niego — cóż za szczęście!

Krzys rusza ptasim łebkiem, zezuje, ogląda się. Ma śliczny biały gorsik, czarny fraczek, błyszczące pazurki.

Gdzieś zginęły wiecznie brudne buciska, łapy spierzchnięte i umorusane, opają dace, dziurawe pończochy. Jest piękny, lekki, swobodny i nikt mu nie kazać może, bo zaraz ucieknie!

Siedzi jeszcze w otwartym oknie, a tu w głębi pokoju uchylają się drzwi.

Mama woła: — Krzysiu! Krzysiu! myj no się! Gdzie ten chłopak przepadł? Krzysiek, kurtka na łokciach biała. I skarpetki zmień, bo dziurawe. I prędzej, synku, prędzej! A domyj ręce...

Krzys, gdy padły te straszne słowa: „Domyj ręce!” — fruwał — i wzbil się odrazu na trzysta metrów.

W dole był świat. Kręciła się rzeka, wyskakiwały dachami niskie i wysokie domy, uciekały lasy i kwadraty pól. Samochody, pociągi, wozy, rowery były, jak rozkoszne zabawki dla dawnego Krzysia.

— Och! — myślał Krzys, — aeroplanom i ptakom jest przyjemnie, bo świat bardzo śmieszny z góry. Przyjemnie jest tak lecieć, tak uciekać od wybierania się na wizytę.

Zniżył lot i wzbil się. Znów spadł i wzbil się. Cudowna huśtawka!

— Teraz zawrócę i zajrzę do mamy, co porabia...

Ale powiał mocny wiatr i Krzys nie mógł zawrócić. Potem chmura zasłoniła mu ziemię i nie wiedział, gdzie leci.

Długo niosły go skrzydelka, pchane wysokim nadobłocznym wichrem i wreszcie przylądki nad jakieś cudowne ogrody.

Był widocznie wieczór, bo świat stał się różowy i fioletowy, jak od bengalskich ogni. Drzewa były innego kształtu i koloru, niż w Krzysowym sadzie. W książce z baśniami Krzysiek widział podobny ogród.

— To jakaś dziwna kraina — pomyślał ucieszony, bo zawsze marzył, żeby bajka działa się naprawdę.

Poczuł zmęczenie i usiadł na ławce. Usiadł na ławce z głupiego przyzwyczajenia, bo powinien był usiąść na gałęzi. Ale też zaraz, gdy dotknął ławki, zmienił się w chłopczyka.

— O, mój Boże! — powiedział — jak ja morus, a tu tak pięknie!

W tej chwili nadbiegło jakieś dziwaczne, ale wytworne stworzonko w atlasowym fraczku i wręczyło Krzysiowi kartę. Ta karta była nad zwyczajna. Maleńkie, niebieskie literki zapalały się na niej i

gasły, jak światła ogłoszeń w wielkiem mieście. I Krzyś odczytał:

B A L

Bal? Jaki bal? Czy to zaproszenie? Może to będzie zaczarowany bal? Krzyś zobaczy tam nadzwyczajne rzeczy i ubawi się, jak król.

Obejrzał kartkę z drugiej strony. Tam wyskakiwały mniejsze liery i tańczyły, jak baletniczki, śpiewając kolorowemi błyskami:

— Każdego, kto przybywa z dalekiego świata,
elfy na ucztę zaprosza, jak brata.
Niech ma tylko paznogie pięknie wyczyszczone,
reče umyte włosy ułożone...
Poprzyszywane do kurtki guziki,
czysty kołnierzyk, błyszczące buciki...

Krzyś zerwał się z ławki.
Musi być na balu elfów!

Bal będzie na pewno prześlizchny. W dodatku Krzyś jest głodny i obiecuje sobie ucztę. Już coś tak pachniało: naprzemian, jak pieczyście i jak owoce.

Spojrzał na swoje ręce.

No, rzeczywiście nie można iść z takimi łapami na ucztę do elfów. Ale cóż tam błysk wśród kwiatów? To sadzawka z różowego marmuru. Krzyś podszedł do sadzawki. Drżała od płasów złotych rybek, ale gdy Krzyś się zbliżył, stało się tak, jakby ktoś zawołał na złote rybki, bo nagle wszystkie przystały. Woda uciszyła się i zmieniła w lustro. Krzyś, nisko pochylony, zobaczył się poraz pierwszy w życiu w całej okazałości.

Woda naumyślnie tak się wyglądziła, aby Krzyś raz dobrze zobaczył swoje uszy, szyję i koniec nosa.

— A to ci ucho! Ha, ha! A to ci nos!
— krzyknął z podziwu, bo ta woda była, jak powiększające szkło!

— Warto by się umyć! — zauważył

szeptem. — O tak. No, i głowę mam, jak fure śmieci. I wogóle...

Zaczął szybko, szybko ściągać ubranie, buciki i jak szalony wskoczył z głową do różowej wody.

Gdy wyskoczył, powiał ciepły wiatr, miły i miękki jak prześcieradło i wysuszył go odrazu.

Krzyś ze zdumieniem przyjrzał się swoim rękom. Były prześlizczone. Nie, to nie do wiary, że ręce mogą być aż tak czyste! Prawdziwie balowe ręce... I nos był balowy.

Krzyś się ubierał starannie.

Fontanna zaszemrała i lekko skropiła mu czuprynę. W bocznej kieszonce zaczął się drapać i ruszać, jak mysz, mały grzebyk. Wkońcu wsunął się prosząco: Krzyś przygładził nim włosy. Głowa jego straciła zupełnie podobieństwo do kopki siana. Buty miał jeszcze nieoczyszczone, gdy chyżo przybiegł prześlizchny elf z prośbą, żeby się Krzyś śpieszył, bo elfy prawie tak nie lubią spóźniania się, jak nieeleganckich gości. Krzyś więc nagwałt zieloną szcotecką z mchu oczyścił buty pobiegł.

Chustka do nosa, którą zgubił, gonila go rozpaczliwie przez pięć alejek.

Wkońcu doznała i wskoczyła mu do kieszeni. Zziajana jak psina.

Krzyś poczuł się bardzo pewny siebie:

Guziki wszystkie ma. Chustkę ma. Uszy czyste. Włosy, jak uła! Paznogie, jakich świat u uczniaka nie widział. Więc, choć nie miał skrzydeł, czuł się lekki, jak ptak. Coś go niesło przez powietrze.

Na balu bawił się świetnie, wspaniale, Ale opowiadać o balach elfów nie wolno.

Jedyne, co pozostaje ciekawym, to być zawsze umyтым i uczesanym, bo nigdy niewiadomo, kiedy które dziecko zostanie zaczarowane i otrzyma na taki bal zaproszenie!

Może właśnie w święta?

St. Szuchowa.

Jak kózka mała chłopcu spać nie dała

A ta miatłojadka,
ta figlarka-kózka
jest całą uciechą
malutkiego Józka.
Jeszcze Józus leży
w rozmarzeniu błogiem.
a już kózka bieży
i trąca go rogiiem.

jakby mówić chciała,
wzruszyć serce do dna,
że jeść nie dostała,
że jest bardzo głodna!...
Lecz gdy Józek krótko
kłamstwu jej zaprzeczy,
koza kiwa bródką
i żałośnie meczy!!!...

E. Kłoniecki

Zaduski

Legenda ludowa

Jakoś na przednówku zmarło się owej dziewczyninie.

I niewiadomo z czego. Ot, marniała, marniała w oczach: przestała śpiewać, przestała się śmiać.

Nibyto patrzyła na ludzi, a spojrzaniem skroś nich szła w zaświaty. Bledziuchna się zrobiła, jako ten oplatek, jako ten święty chleb boży. Na przedwiośniu nie miała już sił chodzić.

Na Wielkanoc ją pochowali.

I została matka sama.

Oj!... nie opowiedzieć słowem, nie opisać piórem, jak to matczyisko labiedziło za swą dziewczyną.

Ni jej do pracy, ni jej do jadła.

Siądzie kądział prząść, to te łyzy jak groch ciężki po licu jej się toczą, aż przędza od nich zamoknie, ani jej w nitkę zwinąć.

Siądzie do szycia — to łyzy jej het precz! oczy zasuną, ani igielki przez tę mgłę nie widzi.

Idzie na rolę pleć czy sadzić, to ani pół pacierza nie popracuje, a już piersiami do zagona przywrze i płacze, płacze, że zdaje się: ta ziemia drzy od jej szlochu.

Tak w płaczu za dziewczyną minęło jej lato i jesień.

I nadszedł dzień Zaduszkowy.

Wiadomo, że w dzień ów, zaraz po nieszpórach, gdy ludzie z nabożeństwa wyjdą, a drzwi kościelne dziać zawrze, zaraz zaczynają cisnąć się do świątyni owe duszyczki, co tu za życia chodziły.

Ale nie było jeszcze takiego śmiałka na świecie, coby poważyl się zostać w kościele na owo nabożeństwo duchów. Nie było takiego śmiałka, ale matka owa nie ulęknie się niczego, byle jeno tę najmilszą duszyczkę dziecka swego chociaż na to oczymgnienie ujrzeć.

Poszła matka nieszczęśliwa z ludźmi na nieszpory w dzień Zaduszkowy, a gdy wszyscy jęli z kościoła wychodzić, przy-

tała się w najciemniejszym kąteczku i — czeka.

Aż gdy za ostatnim żyjącym człowiekiem drzwi się zamknęły, nagle kościół zapłonął światłem wielkim, zapachniał jak łąka kwitnąca, i jakimś słodkiem a niezmiernie napelnił się graniem.

I zaczęły od drzwi wchodzących ku ołtarzowi iść gromady.

Patrzy matka, poznaje w tłumie: toż to ten proboszcz staruszek, co mu się zmarło przed dziesięciu laty, i ten Antoni z pod gaju, co to go drzewo w lesie przytłukło, i kowalowe chłopaki, co tamtego roku na krosty pomarli, i ta stara Adamkowa, co po przoszeniu po parafji chodziła, i siła innych ludzisków to znanych kobiecie, to nieznanym, musi dawniej pomarłych.

Idzie ksiądz ku ołtarzowi, ewangelję rozkłada, modlić się poczyna. A duszyczki, jako to kwiecie łąkowe, po wszystkich nawach rozspayały się i, jako te gołąbki białe, zawisły w powietrzu i jako tęcze pod sklepieniem się rozsunęły.

A matczyisko biedne swojej dziewczyniny w tłumie tym szuka.

Aż ci ją dojrzała! Na samym ostatku skroś główną nawę idzie ku ołtarzowi jej dziewczątka.

Takusieńka, jak ją do trumny włożyła: liczko bielutkie i bielutka na niej szata i ten wianuszek z ruty na głowusi.

Idzie i z męką wielką dźwiga ogromną konew, pełną wody.

Nie mogła matka strzymać! Ręce wyciągnie — i w głos zawoła:

— Julusiu, dzieciątko moje, czystaś była, jako ta lilja polna i bez grzechu byłaś, a Bóg cię obciążył brzemieniem! Za jakież ty winy te ciężką konew dźwigasz?

A duszyczka przystanęła i ku matce obróciła zmęczone oczy:

— Nie winy swoje ja dźwigam, jeno mi Bóg każe nosić wasze łyzy, matusiu, coście je za mną wyplakali. I codnia mi ciężej.

J. Porazińska

*W następnym numerze znajdziecie
odpowiedzi na Wasze listy*

Płynnem paliwem nazywają dziś naftę. Teraz, kiedy wieczory długie i w wielu domach pali się lampa naftowa, warto pomówić o tym cennym płynie.

Nafty używa się w wielu rozmaitych dziedzinach życia. A więc przedewszystkiem używa się jej do poruszania samochodów, aeroplanów i okrętów. Dalej — używają też nafty w przemyśle, rolnictwie, na kolejach i do oświetlania. Nafta zajmuje o wiele mniej miejsca, niż węgiel. Zaopatrzenie wielkiego statku w węgiel wymaga pracy 500 ludzi w ciągu 5 dni, a zaopatrzenie w naftę wymaga 12 godzin pracy 12 ludzi.

Na wschodzie znano naftę już od czasów bardzo dawnych: używano jej wtedy jako lekarstwa i do użytku domowego. Ale w dużej ilości zaczęto wydobywać ropę naftową dopiero od roku 1857, w tym bowiem roku, w Rumunii, wydobyto przy pomocy wiader około 2000 tonn ropy naftowej. Prawie w tym samym czasie zaczęto wydobywać naftę w Polsce, a później w Stanach Zjednoczonych A. P. Wkrótce potem jeden z robotników, nazwiskiem Drake, wpadł na pomysł dobywania nafty przy pomocy wiercenia otworów w ziemi (stąd pochodzi nazwa wiertnictwa).

Drake zbudował bardzo prosty przyrząd wiertniczy i dnia 2 sierpnia 1859 r. za jego wskazówkami wywiercono otwór w ziemi głębokości 25 metrów i robotnicy poszli spać. Gdy nazajutrz chciano przystąpić do dalszej pracy, okazało się że najbliższa okolica była zalana przez ropę naftową, która przepelniła otwór. Od tego czasu technika wiercenia otworów w ziemi poszła naprzód i dziś wierci się otwory o głębokości 2—3000 metrów.

Z wywierconego otworu ropa naftowa wytryska, jak fontanna — i wtedy dużo nafty rozlewa się i ginie; albo też wypływa spokojnie i wtedy się ją wypompuje. Po wydobyciu — ropę naftową przechowuje się w specjalnych zbiornikach, zwanych tankami, albo też wysyła się ją do portów morskich. Zazwyczaj dopiero po oczyszczeniu (zrafinowaniu) ropa naftowa staje się zdatną do użycia. Do rafinerji sprowadza się ropę przy pomocy specjalnych rur. Najdłuższa sieć takich rur (zwanych rurociągami) znajduje się w Stanach Zjednoczonych A. P. (100.000 kilometrów). Przy rafinowaniu z ropy

naftowej otrzymuje się benzynę, naftę do oświetlenia i rozmaite smary do maszyn.

Polacy mają również swą piękną kartę w historii nafty. Mianowicie w lipcu 1855 roku w szpitalu Powszechnym we Lwowie zapalono po raz pierwszy lampy, które zbudował Ignacy Łukasiewicz wspólnie z blacharzem Bratkowskim. Lampy te były oświetlone naftą, którą otrzymał Łukasiewicz po oczyszczeniu ropy naftowej. Wkrótce potem założył Łukasiewicz pierwszą rafinerję nafty w Jaśle i pierwszą kopalnię w Polsce. Dlatego właśnie nazwano Łukasiewicza „ojcem“ polskiego przemysłu naftowego.

Ignacy Łukasiewicz urodził się w r. 1822 w ziemi tarnowskiej, w rodzinie średnio zamożnych dzierżawców. Warunki materialne pozwoliły mu ukończyć tylko 4 klasy gimnazjum, poczem został oddany na naukę do aptekarza.

Ciekawy jest przypadek, dzięki któremu Łukasiewicz ze skromnego aptekarza stał się przemysłowcem naftowym.

Oto pewnego dnia zgłosił się do Łukasiewicza kupiec Schreiner. Zauważył on, jak chłopci gotują w dużych naczyniach ropę naftową, aby ją zgęścić do smarowania wozów. Podczas gotowania zbierał się na pokrywcę żółtawy plyn, który nasunął Schreinerowi myśl, czyby zeń nie można było otrzymać... wódki. Przyniósł więc próbki tego płynu oraz ropę do Łukasiewicza z prośbą o pomoc i radę. Podczas doświadczeń nad destylacją tej ropy dokonał Łukasiewicz swego wielkiego wynalazku, stwierdzając, że nafta destylowana nadaje się doskonale do celów oświetlania i wynajdując wspólnie z blacharzem Bratkowskim odpowiednią lampę naftową. I oto 31 lipca 1855 roku zapłonęły lampy naftowe Łukasiewicza w szpitalu lwowskim na Łyczakowie.

Prowadził też Łukasiewicz wyteżoną działalność społeczną, budował mosty i drogi, zakładał gminne kasy pożyczkowe, liczne szkoły, organizował tak zwaną kasę bratniej pomocy robotników na kopalni w Bóbrce i t. d. Był on przez wszystkich lubiany i szanowany. Umarł 7 stycznia 1882 na zapalenie płuc.

Dzięki coraz większemu korzystaniu z nafty rok rocznie wydobywa się jej coraz

(Dokończenie na str. 8-ej)

Płynne paliwo

(Dokończenie)

więcej. W roku 1890 na całym świecie wydobyto surowej nafty 80 milionów baryłek (baryłka ma około 157 kilo), a w roku 1929 wydobyto już 1½ miljarda baryłek. Najwięcej nafty wydobyto w Stanach Zjednoczonych, bo 1 miliard i 6 milionów. Za Stanami Zjednoczonymi następują Wenezuela (157 milionów baryłek), Rosja (105 miliony), Persja (45 milionów), Meksyk (44 miliony), Rumunja (58 m.), Polska znajduje się na czternastym

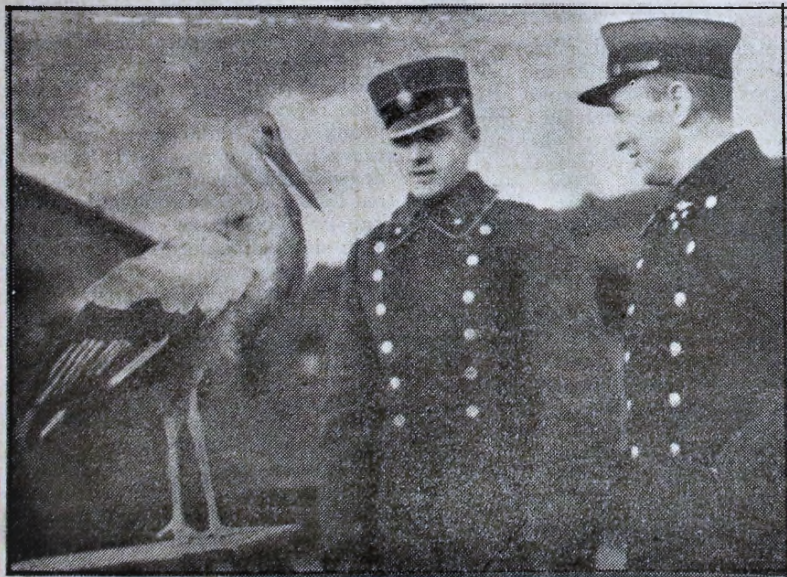
miejscu i wydobywa rocznie około 5 milionów baryłek. Nafta w Polsce znajduje się w trzech miejscowościach: w Drohobyczu (Boryslaw — Tustanowice — Mraźnica), gdzie się znajduje najwięcej zapasów polskich (86 procent), w Jaśle (8 procent) i w Stanisławowie (6 procent). Ropę naftową przerabia się w krajowych rafinerjach, z których „Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych” („Polmin”) w Drohobyczu jest największą w Europie.

Kopanie

Ranki teraz są mgliste i chłodne.
Dzionki krótkie, choć ta i e pogodnie.
Wieczór szybko przychodzi z za lasu.
Na robotę w polu mało czasu.
A roboty dużo u kopania,
więc kopaczki kopią od świtania.
Raz wraz w słońcu migają motyki...
To się piosnka zerwie... to znów
krzyki

lecą nisko nad kartofliskami...
Wreszcie dziewczki pełnymi koszami
(gospodarskie i najęte, obce)
zsypują ziemniaki na kopce,
bo ode wsi wozy już turkocą:
trzeba wszystko zwieźć z pola przed
nocą.

Ewa Szelburg-Zarembina



Bocian, który nie nadążył za swemi towarzyszami i „wylądował” na jednym z placów w Rydze. A „Pani Władza” zastana wia się, co ma z tym fantem zrobić!..

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnawu 57. „Krasnoludki”

Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnawu iela Nr. 57.